

# ROZBIJANIE JUGOSŁAWII TELEWIZOREM

Rozmowa z prof. drem hab. Markiem Waldenbergiem

---

Pana ostatnia książka *Rozbicie Jugosławii* wywołała silne emocje. Jeden z publicystów krytykując Pana poglądy posunął się niemal do zarzucenia Panu propagowania zbrodniczego kłamstwa, niczym kłamstwa oświęcimskiego. Jak Pan sądzi, z czego wynikała ta medialna burza?

W Polsce mamy do czynienia z sytuacją specyficzną. Krytyczny tekst, który Pan przywołał, to był groteskowy paszkwil. Zdziwiłem się, że „Gazeta Wyborcza” nie jest w stanie przeprowadzić bardziej przekonującej krytyki. Głoszenie poglądów tego typu nie wywołuje tak ostrych reakcji w innych krajach. Miałem okazję przedstawiać swoje tezy kilka razy na konferencjach w Niemczech. Przykład ten jest ważny, gdyż nie pomijałem tam moich sądów o odpowiedzialności rządów Niemiec (i Kohla, i Schrödera) za rozbięcie Jugosławii. Moje poglądy wywoływały opozycję czy protesty, ale nie były one tak zajadłe.

Nie jestem zwolennikiem wyjaśnień monokausalnych. Uważam, że dążenie do takich wyjaśnień jest często nieszczęściem nauk społecznych. Ale trzeba stwierdzić, że kampania antyjugosłowiańska była dobrze przygotowana i dyrygowana. Powstaje pytanie: po co? Kampania ta była przygotowana przez media – i w Europie, i w USA. Od samego początku, tj. od 1990 r., gdy państwo jugosłowiańskie

zaczęło „trzeszczeć”, mogliśmy obserwować intensywne i nachalne działania mediów. Działo się to przez epatowaniem relacjami z Kosowa. Kampania była przygotowana przez różne podmioty. W książce napisałem o amerykańskiej firmie z zakresu *public relations* Ruder Finn Global Public Affairs, która pracowała najpierw dla rządu chorwackiego, potem dla Bośniaków, wreszcie dla Albańczyków. Ich zadaniem było upiększać wizerunek medialny klienta, i oczerniać wroga – tzn. przede wszystkim Serbów. I trzeba stwierdzić, że pracowali dobrze. Poza tym łatwo było mediom operować schematami: naród dążący do wyzwolenia z więzienia, jakim jest Jugosławia, którego strzegą Serbowie. Postrzeganiu takiemu sprzyjały emocje związane z rozpadem Związku Radzieckiego. Oczywiście, taka diagnoza była nonsensem. W książce obalam tezę, że Jugosławia była więzieniem narodów i państwem sztucznym. Mimo, że Jugosławia była państwem autorytarnym (nie totalitarnym), to jednak problematyka narodowościowa była od początku lat sześćdziesiątych, a wyraźnie od uchwalenia nowej konstytucji w 1974 r., prowadzona bardziej liberalnie, niż w jakimkolwiek kraju europejskim. Albańczycy korzystali z bardzo szerokiej autonomii. W zachodnich pracach naukowych wielokrotnie pisano, że Kosowo od lat

siedemdziesiątych jest w gruncie rzeczy drugim państwem albańskim.

Reasumując, z jednej strony mieliśmy do czynienia z dobrze opłacaną pracą z zakresu *public relations*. Ale z drugiej strony, można było dostrzec zakorzenioną niechęć wobec Serbów. Dotyczy to szczególnie społeczeństwa niemieckiego i austriackiego. Serbów obarczano winą za wybuch pierwszej wojny światowej, za śmierć wielu żołnierzy niemieckich w drugiej wojnie światowej, utożsamiano komunistyczną partyzantkę Tito z Serbami (choć byli w tej partyzantce nie tylko Serbowie). To wszystko składało się na awersję wobec Jugosławii – dostrzegalną już po pierwszej wojnie światowej. Rozdmuchały ją także media. Otto von Habsburg – człowiek wiekowy, ale nadal biorący w tym czasie udział w życiu publicznym – mówił, że początkowo stosunek społeczeństwa niemieckiego do dążeń separatystycznych Słowenii i Chorwacji był letni, a dopiero dwie gazety wytworzyły w społeczeństwie niemieckim – zdaniem Habsburga – „właściwy” stosunek do tej sprawy. Były to: „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, która od początku zajmowała skrajnie stronnicze stanowisko, a jest bardzo opiniotwórczą gazetą; oraz gazeta skierowana do innego rodzaju odbiorcy, ale też bardzo wpływowa – „Die Welt”. Te dwie gazety codziennie „bombardowały” jugosłowiańskich Serbów. Informacje „Frankfurter Allgemeine Zeitung” były przedrukowywane przez liczne niemieckie gazety lokalne, których redaktorzy nie mieli prawie żadnego pojęcia o wydarzeniach jugosłowiańskich. W Austrii dominowały te same resentymenty.

Polityka niemiecka wprost dążyła do rozbicia Jugosławii, widząc w tym kilka

korzyści dla Niemiec. Najważniejszą korzyścią była segmentyzacja Europy Środkowo-Wschodniej, tworzenie drobnych, małych państweczek, z założeniem, że będzie je łatwiej podporządkować RFN, nie tylko gospodarczo, ale i politycznie. Wzmocniłoby to pozycję Niemiec także w przyszłej, rozszerzonej Unii Europejskiej. Trzeba pamiętać, że był to okres wyraźnej rywalizacji między Niemcami a Francją o pozycję w Unii. Dziś, tj. po interwencji w Iraku, ta rywalizacja jest w tle – na pierwszym miejscu jest woła współpracy, która ma zapewnić korzyści w rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi. Niemcy dostrzegły, że to potencjalne zaplecze małych państw jest labilne; że Amerykanie mają możliwość łatwego ich pozyskania (a w ostateczności kupienia). Nowa sytuacja w polityce międzynarodowej zmieniła stosunek Niemców do państweczek Europy Środkowo-Wschodniej.

#### Do Serbów także?

Nie powiedziałbym, że tak, ale też nie powiedziałbym, że zdecydowanie nie. Udzielenie bardziej jednoznacznej odpowiedzi wymagałoby dokładniejszej analizy nastrojów panujących w Niemczech i mediów niemieckich. Ale myślę, że do Serbów w dalszym stopniu zachować się wielce niechętny stosunek. Pamiętam audycję telewizyjną z 2001 roku, po rebelii albańskiej w Macedonii, w której dziennikarka zapytała Joschkę Fiszera, czy nie sądzi, że stanęliśmy po złej stronie w konflikcie serbsko-albańskim? Pytanie tej dziennikarki można traktować jako znamienne.

Powracając do problemu mediów, muszę podkreślić, że dla mnie najmniej zrozumiałe jest stanowisko mediów francuskich. We Francji nie ma przecież żadnej

zaszłości dla antyserbizmu. Tymczasem prawie we wszystkich mediach francuskich Serbowie byli obiektem bardzo tendencyjnej krytyki. Co ciekawe, można powiedzieć z pewną ostrożnością, że w kampanii antyserbskiej pierwsze skrzypce grali ci sami intelektualiści, którzy pierwsi zaczęli krzyczeć o antyamerykanizmie w związku z wojną w Iraku.

**Jednym ze szczególnie kontrowersyjnych wątków Pana książki jest analiza liczby ofiar czystek etnicznych. Szacunki ofiar wszystkich stron są bardzo zróżnicowane. Które dane uznaje Pan za najbardziej wiarygodne i jaką przyjmuje Pan metodę ich weryfikacji?**

Zastrzegłem się we wstępie do książki, że ten problem, który budził największe zainteresowanie mediów i był najbardziej nagłaśniany, jest tak trudny do wyjaśnienia, że ja nie poświęcam mu w tej książce wiele uwagi, tzn. zajmuje się przede wszystkim przyczynami, motywami i współczesnymi skutkami działań aktorów jugosłowiańskiego konfliktu, a nie dyskusją, ile było ofiar czystki w określonej miejscowości. Wyszedłem z założenia, że nie mam możliwości weryfikowania rozbieżnych danych. Gdy dziennikarz francuski zapytał dyrektora przywołanej firmy *public relations* na jakiej podstawie rozpowszechnili informację o tym, że w Jugosławii są obozy koncentracyjne, odpowiedział, że oni nie są od sprawdzania wiadomości, gdyż nie mają do tego instrumentów, a ponadto ich zadaniem jest działalność na rzecz klienta. Podobnie ja – choć nie miałem „klientów”, to jednak nie miałem możliwości weryfikowania danych. Kładłem jedynie nacisk na to, że Serbom zarzucano zbrodnie w oczywisty sposób nieprawdziwe, np. ostrzał (czy też

miny – to nie jest jasne) rynku w Sarajewie; czy też zgwałcenie stu tysięcy kobiet. Nawet zbrodnie w Srebrenicy nie jest sprawą wyjaśnioną wystarczająco, dlatego potraktowałem ją z odpowiednim dystansem. Nie sądzę, by sprawy tego typu dało się kiedykolwiek do końca obiektywnie wyjaśnić. Podobnie sceptyczny stosunek mam do prób odpowiedzi na pytanie: dlaczego zaczęto zabijać. Podobnie trudno jest wyjaśnić skalę mordów na Serbach w tzw. niezależnym państwie chorwackim w czasie II wojny światowej (ostrożnie licząc, mówi się o ok. 300 tys. ofiar), czy też – bliski mi problem – mordów na Wołyniu. Można tylko opisać sytuacje i czynniki, które sprzyjały powstawaniu takich nastrojów wrogości. Ale od uczucia nienawiści do aktu okrutnego mordu – droga jest daleka.

W czasie moich badań oburzała mnie jednostronność i oczywista tendencyjność prezentowanych danych. Ciągłe obciążanie Serbów wszystkimi możliwymi zbrodniami. Doprowadziło to do sytuacji, że nieraz słyszałem z ust znanych mi osób: „Ci Serbowie to są gorsi od hitlerowców!”. Stawia się tezę, że mediom niemieckim bardzo odpowiadała taka prezentacja Serbów, że umniejszała niemieckie poczucie winy, w myśl zasady: „Owszem, popełnialiśmy zbrodnie, ale jest naród, które popełnia jeszcze większe zbrodnie”. Zatem moim celem nie było ustalenie, ile było ofiar po wszystkich stronach. Chciałem obalić pewne mity demonizujące Serbów. W książce zawarłem tezę, że wątpię, iż którejkolwiek ze stron można przypisać ludobójstwo. Samo to pojęcie jest wyjątkowo nieprecyzyjne. Czy da się przeprowadzić granice między ludobójstwem a zbrodnią masową? W gruncie rzeczy jest to pojęcie ideologiczne,

służące politycznym celom. O ludobójstwo przesadnie oskarżali także Serbowie Albańczyków w latach osiemdziesiątych, gdy próbowali oni oczyścić Kosowo mordując wielu Serbów i tym samym usiłując zmusić pozostałych przy życiu do ucieczki. Problem ten zamierzam rozwinąć w posłowie do nowego wydania mojej książki.

Należy przy tym mieć świadomość tego, że obciążanie narodu wszelkimi najgorszymi zbrodniami musi wywoływać w tym narodzie poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, które łatwo mogą się przerodzić w agresję. Serbowie – czy się to komuś podoba, czy nie – są kluczowym narodem na Bałkanach. Zachód obwiniam o to, że jego polityka propagandowego demonizowania Serbów, objęcia ich bardzo dotkliwymi ekonomicznymi sankcjami i niszczenia kraju nalotami, nie służy uspokojeniu Bałkanów, lecz podsycaniu nienawiści. Podkreślam, że pamięć historyczna jest na Bałkanach wyjątkowo rozwinięta. Pamięć krzywd można uspić, ale łatwo ją obudzić, gdy powstaje nowy konflikt. Mówiąc hasłowo, politykę Zachodu cechowała ignorancja i arogancja – w czasie całego konfliktu bałkańskiego. I dotyczy to wszystkich państw (z wyjątkiem Grecji) – jedne w większym stopniu, inne w mniejszym. (Tak samo można zresztą określić obecną politykę Stanów Zjednoczonych w Iraku.)

**Pana książkę można czytać nie tylko jako alternatywny opis kolejnych wojen w byłej Jugosławii, ale także jako analizę roli mediów w tych konfliktach. Według Pana diagnozy, wpływ mediów był bardzo negatywny. Posuwa się Pan nawet do oskarżenia niektórych dziennikarzy o to, że byli podlegaczami wo-**

**jennymi. Czy rzeczywiście wpływ mediów był jakościowo nowym procesem, w porównaniu z np. znaczeniem propagandy zimnowojennej?**

Sądzę, że był to rzeczywiście nowy proces. Propaganda zimnowojenna obu stron nie miała na celu – generalnie rzecz biorąc – przygotowanie wojny. Miała na celu dezawuowanie przeciwnika; powstrzymanie czy ograniczenie jego oddziaływania na społeczeństwo własne i innych państw. Ani Amerykanie nie spieszyli się do wojny z Rosjanami, ani Związek Radziecki do konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi. Była to propaganda „defensywno-ofensywna”: defensywna w ochronie własnego społeczeństwa przed ideologią przeciwnika; ofensywna wobec mieszkańców żyjących za żelazną kurtyną.

Natomiast w przypadku Bałkanów mieliśmy do czynienia z propagandą jako bezpośrednim przygotowaniem pola dla wojny. Jestem głęboko przekonany, że już zbrojne włączenie się Stanów Zjednoczonych (poprzez struktury NATO) do konfliktu w Bośni i Hercegowinie – do czego się Clinton nie śpieszył – było wymuszone przez media. Fatalną rolę odegrał też „zły duch” administracji waszyngtońskiej, czyli M. Albright (i ci, którzy za nią stali). Znaczenie mediów było większe w procesie podejmowania decyzji o nalotach na Jugosławię. Pomysł bombardowań był wcześniej niewyobrażalny. Trzeba tu przypomnieć, że Amerykanie nie mieli dowodów na katastrofę humanitarną, której przeciwieństwo tak naprawdę nie było (pomijam w tym miejscu niejednoznaczność tego pojęcia). Naloty na trzecią Jugosławię były złamaniem podstawowych zasad prawa międzynarodowego. Ci, którzy nawoływali do „interwencji

humanitarnej” – jak określano wszczęcie wojny – wychodzili z założenia, że w Kosowie zamordowano 300–400 tys. osób. Byli zatem oszukani przez media i przez rządy. Bez tej propagandy rozpoczęcie bombardowań przez Stany Zjednoczone byłoby niemożliwe; a tym bardziej włączenie się znaczących europejskich państw NATO. Wojna medialna stanowiła początek wojny rzeczywistej. Podobnie było przed wojną w Iraku. W kampanii medialnej mówiono o groźbie użycia broni masowego rażenia, której wprawdzie nikt nie znalazł, ale ona medialnie nadal istnieje. To, co się działo w czasie konfliktów bałkańskich, to kompromitacja czwartej władzy. Z kolei odpowiedź na pytanie, dlaczego tak duże i prestiżowe media, zwłaszcza francuskie czy amerykańskie, dały się wykorzystać w tej wojnie, jest warte niejednej pracy doktorskiej. Niektóre media niewątpliwie były dyrygowane z Waszyngtonu, który odpowiednio wcześniej przygotowywał się do wojny, ale to nie jest wyjaśnienie wystarczające.

**Serbię zna Pan nie tylko z kart książek, ale i z licznych wojaży. Jak scharakteryzowałby Pan dzisiejszy nacjonalizm serbski?**

Pytanie jest trudne dlatego, że zawsze niełatwo jest oceniać inny naród, ale ponadto ja nie wiem, czym jest nacjonalizm. Podobnie kiedyś prowokacyjnie mówiłem, że nie wiem, czym jest dialektyka. Nacjonalizm to wieloznaczne i „zużyte” słowo, w znacznym stopniu służące jako „pałka” na przeciwnika. Ja przez nacjonalizm rozumiem mniej więcej taką ideologię, jaką w Polsce głosili Dmowski i Narodowa Demokracja. Nacjonalizm to pełna filozofia stosunków między naroda-

mi, oparta przede wszystkim na założeniu, że między nimi toczy się nieustanna walka; że relacji międzynarodowych nie można oceniać w kategoriach: sprawiedliwe-niesprawiedliwe, ale jedynie ze względu na siłę lub bezsilność państw; że egoizm narodowy jest jak najbardziej uzasadniony.

Z tego punktu widzenia można postawić pytanie – które zadała mi pewna doktorantka na jednym z moich zagranicznych wykładów – dlaczego tak wiele mówi się o nacjonalizmie serbskim, a tak mało o nacjonalizmach chorwackim czy albańskim. Odpowiedziałem na nie, że jest to skutkiem medialnej kampanii antyserbskiej. O zbrodniach chorwackich czy muzułmańskich czasami nawet coś napisano, ale w ten sposób, że to się nie rzucało w oczy. Myślałem wówczas, że ta pani jest Serbką, tymczasem w czasie naszej późniejszej rozmowy okazało się, że jest Chorwatką. Opowiedziała mi, że jej ojciec wywoził całą rodzinę za granicę w momencie, gdy dostrzegł, że – jak to określił – znowu zaczyna się w Chorwacji panoszyć ten nacjonalizm, który panował tu w czasie drugiej wojny światowej (i waluta tak samo się nazywa, i sztandar prawie taki sam...).

Czy w Serbii wzrasta nacjonalizm w takim rozumieniu? Wydaje mi się, że wzrasta. I nie dziwię się temu. Jest to jeszcze jeden skutek antyserbskiej polityki państw Zachodu, obciążania ich wszelkimi zbrodniami oraz nękania ekonomicznego i militarnego. Nie sądzę jednak, by był to nacjonalizm najbardziej agresywny; znacznie silniejszy był i jest nacjonalizm chorwacki. W Belgradzie parę lat temu mieszkało około 100 tysięcy Albańczyków. W czasie bombardowań NATO na trzecią Jugosławię nie doszło jednak

do aktów przemocy przeciw albańskim mieszkańcom stolicy. Nie palono także ich mieszkań, sklepów, warsztatów. W Serbii jest silne poczucie tożsamości narodowej, wzmocnione przekonaniem (nie bezzasadnym), że nikt im w ich biedzie nie pomoże. Trochę pogadał Jelcyń, ale w rzeczywistości nic nie chciał zrobić. Jedynie Grecy popierali Serbów, a głowa kościoła prawosławnego w Grecji powiedział, że to naród bohaterów. Nie przekładało się to jednak w pełni na politykę rządu greckiego.

Ponadto ja nie widzę niczego złego w tym, że jakiś naród chce mieszkać w jednym państwie. Nie jest naganna chęć Albańczyków z Kosowa do mieszkania w jednym państwie z mieszkańcami Albanii. Teoretycznie nie jest to nic zdrożnego. Problem polega na tym, jakimi do tego celu dąży się metodami. Ponadto taki naród musi brać pod uwagę konsekwencje swoich działań dla stabilności regionu i kontynentu. Jednolite, duże państwo albańskie jest bardzo niepokojącym widmem dla Greków, którzy ciągle boją się osi Tirana–Ankara, czyli *de facto* oskrzydlenia. Ponadto jest to projekt nie do zaakceptowania dla Bułgarów. Bo tak się ułożyły dzieje w tym regionie. Można by nawet Albańczykom współczuć, że ich dążenie nie może być zrealizowane. Wychodząc z tych samych przesłanek nie widzę nic złego w tym, że Serbowie, gdy Jugosławia nie z ich winy się rozpadła, chcieli żyć w jednym państwie.

Podsumowując, tożsamość narodowa Serbów jest silna. Dlatego popularnym politykiem jest Koštunica, który ma tego świadomość. Są wśród Serbów także nacjonalisci, ale nie jest to większość narodu. Serbowie nie stanowią niebezpieczeństwa dla Bałkanów. Prawdziwym niebez-

pieczeństwem jest dążenie do Wielkiej Albanii.

#### A jaki jest stosunek Serbów do Polaków?

Stosunek Serbów do Polaków był zawsze bardzo pozytywny. Pierwszy raz w Jugosławii byłem w 1957 r. jako jeden z pierwszych Polaków, którzy wyjechali tam po odmrożeniu stosunków bloku sowieckiego z Jugosławią (po wizycie Chruszczowa w Belgradzie). Miałem wówczas wrażenie, że jestem niezmiernie serdecznie i życzliwie przyjmowany.

Do sympatii Serbów do Polaków przyczyniło się także to, że w partyzantce Tito było wielu naszych rodaków. W Bośni i Hercegowinie byli polscy imigranci z Galicji, którzy przenieśli się tam za czasów Austro-Węgier (nie wiem w jakich okolicznościach, prawdopodobnie ze względów ekonomicznych). W czasie swoich licznych wizyt w Jugosławii utwierdziłem się w swojej diagnozie. Czy ten stosunek nie zmienił się pod wpływem wydarzeń towarzyszących rozbiciu Jugosławii – nie wiem. Może i tak. Polityka Watykanu, stanowisko Jana Pawła II wpłynęło w pewnej mierze na stosunek Serbów do Polaków, gdyż ta wojna miała w znacznej mierze charakter religijny (mimo, że ludność Jugosławii w czasach „komunistycznych” nie znamionowała się wielką religijnością). Episkopat chorwacki bardzo zdecydowanie angażował się w popieranie separacji Chorwacji. Wysłał nawet list do episkopatów innych państw, w którym uzasadniał dążenia chorwackie do oderwania się. Być może to się jakoś przełożyło na brak sympatii do Polaków; ale dotyczyć może tylko części Serbów – głównie tych, którzy żyli w Chorwacji. Tym bardziej, że Kościół katolicki w

Chorwacji ma na sumieniu poważne grzechy w okresie II wojny światowej (co oczywiście nie oznacza, że nie było księży, którzy pomagali Serbom czy Żydom). I nigdy nie wyraził skruchy z powodu popierania zbrodniczego reżimu Ustaszowców.

#### W książce napisał Pan też o dziedzictwie kulturowym Serbów w Kosowie i o stosunku Albańczyków do tego dziedzictwa. Jak według Pana socjologia narodowości powinna traktować konflikty etniczne o pomniki, miejsca święte itd. – czy to tylko epifenomen konfliktu o inne dobra i władzę?

Myszę, że jest rzeczą fatalną niszczenie dorobku kulturowego, zarówno świeckiego, jak i sakralnego, a nawet zacieranie śladów obecności innych – na cmentarzach i w innych miejscach. Niszczenie śladów innych jest zjawiskiem karygodnym – i z punktu widzenia dziejów kultury, i ze względu na wpływ na stosunki między tymi narodami. Świadomość, że wymazano lub starano się wymazać ślady naszej obecności, raczej nie może wywoływać sympatii. Szczególnie destrukcyjne jest to dla stosunków między krajami sąsiedzkimi. Nie powinno się było także na ziemiach zachodnich zacierać obecności niemieckiej. Podobnie nie należało tego robić na terenach połemkowskich. Chcę przy tym zastrzec, że nie uważam, aby wszelkie przesiedlenia były karygodne. Przesiedlenia są zawsze złem, ale czasami mniejszym złem. Natomiast dewastowanie grobów jest jednoznacznie karygodnym czynem.

Dotyczy to także przypadków bardzo kontrowersyjnych. Gdy byłem na wyspie Rodos, to widziałem na odrestaurowanych w czasach panowania włoskiego

obiektach z okresu wypraw krzyżowych tablice informacyjne, że budynki odnowiono wtedy, gdy na czele państwa stał Benito Mussolini. Uważam, że władze greckie dobrze zrobiły nie usuwając tych tablic jako świadectwa epoki.

Są jednak wyjątki. Barbarzyński sposób, w jaki Niemcy prowadzili II wojnę światową, i zbrodniczy charakter ich okupacji, usprawiedliwiają to, że „pamiętek” po nazistach się nie kultywuje. W Krakowie na Wawelu znaleziono niedawno rozbitego, parometrowego orła nazistowskiego („wronę”). W prasie krakowskiej trwa dyskusja, co z tym fantem zrobić. Uważam, że można ją po prostu wyrzucić na śmietnik.

Gdybyśmy to pytanie odnieśli do sytuacji na Bałkanach, to trzeba zauważyć, że zniszczono tam wiele pamiętek po nienawidzonych bądź nie lubianych narodach. Szczególnie wiele zniszczono po kulturze i religii Serbów, zwłaszcza w Kosowie, w którym nadal niszczy się cerkwie i inne obiekty kojarzone z Serbami. Podobnie w Macedonii. Przez długi czas działo się to na oczach okupacyjnych wojsk NATO.

#### Przedmiotem konfliktu symbolicznego były także języki Serbów i Chorwatów. Wcześniej mówiło się o jednym języku serbochorwackim. Nagle obie strony zaczęły dowodzić, że istnieją dwa odrębne języki.

Każdy z tych języków powstał z kilku dialektów. Niektóre dialekty były sobie bliższe, inne bardziej oddalone. Uważam, że obecnie kreowanie języków jest operacją czysto instrumentalną, wyrazem chęci odseparowania się. Lingwiści – bo dajże na całym świecie – słusznie uważali, że jest jeden język serbochorwacki. Różnice są tego typu, co w przypadku od-

mienności regionalnych w ramach jednego języka narodowego. Dworzec – od dawna – inaczej jest nazywany przez Chorwatów, inaczej przez Serbów. Także mużłmanie wykroili teraz z serbochorwackiego odrębny język (bośniacki, czy też „boszniański”).

Źródło tej aktywności jest wyraźne. Przez długi czas język uważano za cechę odróżniająca narody. Przed I wojną światową nikt nie słyszał o narodzie austriackim. Austriacy mówili po niemiecku, byli uważani za Niemców i sami się za nich uważali. Wynikało to przede wszystkim z tego, że nie mieli własnego języka, który jest głównym elementem narodowej kultury wysokiej. W XIX wieku statystycy przeprowadzając spisy ludności wiedzieli, że pytanie o narodowość jest niezrozumiałe, dlatego pytali o język. Może być tak, że dwa narody mówią tym sa-

mym językiem, ale to jest odstępstwo od reguły.

Do rektora jednego z uniwersytetów zwrócono się z prośbą o ustanowienie lektoratu języka łemkowskiego, gdyż – wedle wnioskodawców – różni się on od języka ukraińskiego. Rektor miał tym samym do rozwiązania problem polityczny: gdyby wyraził zgodę, to spotkałby się z krytyką środowisk ukraińskich, że są to działania zmierzające do rozbitcia narodu ukraińskiego. Z kolei Łemkowie uważający się za odrębny naród odmowę uznałoby za dyskryminację. Jest to przykład na to, jak nadal głęboko zakorzenione jest przekonanie o tym, że naród powinien mieć odrębny język.

**Dziękuję bardzo za rozmowę.**

*Warszawa, 24 maja 2004 r.*  
Rozmawiał Lech M. Nijakowski